

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



JEZUS-CHRYSTUS CHODZI PO MORZU.

„Panie zachowaj mię“

A wnet Jezus ściągnąwszy rękę uchwycił go i rzekł:

„Małej wiary, czemuś wątpił.“

Ewang. Ś. Mateusza Rozdz. XIV, w. 30 i 31.

Świętowanie w rodzinie.

Tak w radości, jak w smutku człowiek potrzebuje podziału uczuć, wymiany myśli i w skutek tego w dniu życia uroczyste ludzkie, związani ze sobą węzłem uczuć serdecznych, zgromadzają się, aby je razem przepędzić. Przyjaźń ma tu prawa równe z rodziną; pragniemy uściśnić rękę miłych nam osób i jeżeli też człowiek pozbawiony rodziny cierpi na brak wielki i przy najpomyślniejszych nawet warunkach życia czuje pustkę w sercu, ten który się zamknie wyłącznie w kole swoich najbliższych, doznaje też braków niemniejszych, bo nie żyje wszystkimi stronami tej szlachetnej natury ludzkiej, która wymaga ruchu myśli i uczuć, stanowiących o żywotności wewnętrznej istoty naszej. Jest to duchowy kredyt i debet człowieka i nie możemy lekceważyć go bezkarnie, bo wtedy zniknęłoby dla nas mnóstwo wrażeń, potrzebnych koniecznie dla podtrzymywania ruchu myśli, dla rozbudzenia tych uczuć, które są podstawą każdej szlachetnej indywidualności. Słysząc się daje przecież bardzo często, że towarzyskość nasza z gubną się stała tak dla pojedynczych rodów, jak i dla ogółu całego, ale postawiono tu niedostateczną złego dyagnozę. Nie towarzyskość to, ale dołączona tu rozrzutność, pycha pragnąca ostentacji wystawnej wiedzy do ruiny nietylko przez wydatki grosza, ale przeskądza w pracy, nie pozwała charakterem wyrabiać się szlachetnie, a cnotom potrzebnym koniecznie człowiekowi uczciwemu, rozwinać się tak, aby opanowały niższe instynkta nasze.

Potrzeba tu reformy: potrzeba, aby w stosunkach ludzi do ludzi ta próżność najędźniejsza z nędznych, która chce się chlubić z dostatków posiadanych, ustąpiła miejsca wyższemu poglądom na życie i dostojność człowieka. Nie to jest godnością, co przedstawia mienie nagromadzone, nie to nawet, co było w tym celu zabiegami pracowitemi, ale użytek z mienia tego czyniony, ale podniesienie się duchem nad jego dary używania i wygody. Skoro tak nie jest, stawać się musimy z jednej strony sybarytami, z drugiej grozi nam niebezpieczeństwo to wielkie, że czeząc złotego cielca, skierujemy wszystkie nasze myśli i pragnienia w stronę materialnych tylko nabytków, odwracając się od wyższych, świętych dla uczciwego człowieka celów. Nie nie sprawia bolesniejszego widoku nad ludzi, którzy nadawczy myślom swoim kierunek taki, siłą się grać rolę bogatych, nieraz kosztem rzeczy najświętszych, bo jest to wraz z życia pojęciem nędznym, brak rozumu. Nie to da nam miłe chwile świętowania, aby przedstawiała nam się fantasmagorya nieposiadanego dostatku i trzeba na to uroków innych: trzeba, aby rodzinne koło nasze darzyło nas słodkimi darami prawdziwego uczucia, aby ręce przyjaciół dawały nam uścisk szczerze życzliwy, a wtedy tylko serce nasze przeniknie słodkie zadowolenie, wtedy uczujemy, że życie nie jest obrane z pociech, które zdolne są przemódz zawody jego i smutki.

Szlachetny myśliciel francuski, Paweł Janet, poświęcił rozdział cały w książce pod tytułem: „Filozofia szczęścia” stosunkom towarzyskim. Świat i ludzie oddziaływają niewątpliwie na to szczęście, jakkolwiek tylko w mierze pewnej i na podstawach rozumnie pojętego zadowolenia moralnej i intelektualnej istoty naszej. „Nie dobrze jest człowiekowi samemu” naucza nas Piśmo Święte; obcowanie z ludźmi jest nam konieczne potrzebnym nietylko dla szczęścia ale i dla dobra, bo mizantrop to najczęściej samolub zamknięty w sobie, nie dbający o nic po za własną istotę swoją i odsunięcie się od ludzi jest rzeczą razem złą i smutną. W wyrażeniach uczuć naszych, w wymianie pojęć, w podzieleniu przekonań zawiera się pierwiastek szczęścia, i gdy braknie nam tego, uczucie w nas zastyga, wrażenia i myśli stają się jednostronne i śmiało twierdzić można, że towarzyskość to grunt duchowego naszego istnienia.

Święta, to obok ich głównego, religijnego znaczenia, dnie poświęcone zebraniom gościnnym

rodziny i przyjaciół. Ręce wyciągają się do siebie po uścisk serdeczny i słodycz tych uroczystości w kole życzliwych sobie, uczuciem przyjaźni czy węzłami krwi związanych ludzi, posiada uroki może najwdzięczniejsze w spokojnej radości swojej. Kobieta, która tu na czele domu stoi, może rzucić ciepły promień światła na rzecz każdą, choćby najdrobniejszą, a razem wytworzy się z tego całość piękna, chwytającego za serce.—Jak tu miło... jak tu dobrze!... wołamy, nie pojmując nawet, co tutaj działa tak na nas. Jak kwiat polny, którego powab w tem się zawiera, że piękność jego ma formy proste i skromne, tak życie w rodzinie takiej przenika serca uczuciem słodkiego zadowolenia; wysilenie się na efekta sztuczne nigdy takiego rezultatu nie wyda, bo wszystko wdziękiem się staje wtedy, gdy warunkom miejsca i zebranych tu przedmiotów harmonijnie odpowiada. Słowiańska bogini miłości i piękności czystej, która z harmonii wynika, Ładą się zwała, a panuje ona po dziś dzień na świecie i roztacza uroki swoje pod postacią wdzięcznego ładu, który niezależnie od barw i kształtów piękno tworzy.

Rodzi je więc harmonia, którą wcielić można w formę każdą, skoro tylko jest tu podstawą uczucie estetyczne. Życie ludzkie potrzebuje tego, aby nie przyniósł nas rozstrój kłócących się ze sobą szczegółów, a nie ma w naturę brzydoty bezwzględnej i wytwarza ją tylko brak zgody zle ze sobą zestawionych przedmiotów. Izba chaty wieśniaczej odziewa się wdziękiem miłym, gdy w dni święteczne gospodyni z poczuciem piękna w duszy rzuci na ubitą z gliny podłogę zielone kiście tataraku, a u pułapu zawiesi gałązki kaliny. Działa tu moc złożona w sile serdecznego uczucia kobiety, z którego rodzi się poeta. Jak urok słodkiego wdzięku zyskuje jej miłość tego, który się z nią łączy aż do dni życia ostatnich, tak na odwrót kochająca stara się roztaczać w koło siebie piękno, pragnąc dać tym, których kocha, uciechę tej piękności.

Można też twierdzić niemylnie, że piękno święteczne w rodzinie, urodziło się z miłości noszonej w piersi kobiety. Kochająca poznała uroki swego słodkiego szczęścia w prostej chacie pod słomianą strzechą i oto świętowanie w rodzinie odziewa się wdziękiem przez jej staranne zabiegi wytworzonym, a jest tak wszędzie, gdzie tylko działa ta, której serce umie bić uczuciem tkliwym i dla tego to przy składzie stosunków takim nie wdziera się w życie rodzin ten zbytek zgubny, który sprowadził nietylko tyle ruin, tyle istot ludzkich wyrzucił na grunt życia twardego, bez ochrony dachu nad głową, ale ile niewytrwałych poniżyło się, zbiegło z drogi świętych dla człowieka obowiązków?... Umieć świętować wesoło bez kosztownej parady zbytku, to świętować prawdziwie, to dać ujście szlachetnym tem stronom natury człowieka, który czerpie zadowolenie nie w używaniu płochem i bezmyślnem, bo umie stworzyć dla życia swego wyższe, dostojniejsze przyjemności.

Zmiany w obyczajach, przez wieki ustalonych, niełatwe są i nie odrazu się przyjmują, wielką też jest tu zasługa tych, którzy je wprowadzając, skierowują społeczeństwo swoje na tory życia lepsze i trzeba im też mówić sobie, nie oglądając się na innych: „Czyń każdy w kółku swoim, co każe duch Boży, a całość sama się złoży“...

M. I.

ROMANS.

Mówią ludzie, że zmądrzały
Świat — ma miłość w poniewierce
Że już przestał wierzyć w serce
I we wszystkie ideały.
Że sił pełen wiek młodzieńczy
Wrót marzeniom nie otwiera,
Wraz z poczęciem się umiera,
Nie zadrgawszy blaskiem tęczy —

Że srebrzysta pieśń słowika
Niesłuchana w gajach dzwoni —
Że we wspólnej dusz harmonii
Częściej rozdźwięk się spotyka.
Baśń tęczową snuł wiek przeszły,
Która w świetle prawdy gaśnie:
Ku dolinom góry zeszyły,
Coraz wężej, coraz ciaśniej;
Wciąż się skurcza świat dzisiejszy,
Jak jesienny dzień od Września —
Coraz bledszy, coraz mniejszy,
Wciąż się kuli, wciąż się ścieśnia.
Dziś się mruży trwożne oko,
Gdy uderza piorun blisko....
Do gwiazd wzleci — za wysoko,
W otchłań runąć — nazbyt nisko.
Więc z powieką w pół przymkniętą,
Z uśmiechniętą głupio twarzą —
Depcą ziemię całą piętą,
O snach orlich ani marzą.
Wypłowiąły świątyn freski,
Zaorano dawne pola —
Uwiedziona krzyk Franceski
Nie uderza w pierś Paola —
Na mgłach chwiejnych tęcza płonie —
Wie to rozum prawdy pomny —
I kochanków grób w Veronie:
To Szekspira sen ogromny!

Zkądże mi się dzisiaj bierze
Narcyzowa pieśń przebrzmiała?
Świeżych uczuć lilja biała
I miłości wzniosłe *Wierze?*
Zkąd ten *Pacierz* w dniach niewiary,
Głośnie: *Ave!* snom bez życia,
I serc bicia, czy rozbicia,
Zapomniany romans stary?
Zkądże wziętem to przedziwo?
Kryształowych uczuć rose?...
Ja nic nie wiem!... Lecz wam niosę
O kochankach pieśń szczęśliwą.

Pierś przy piersi, skroń przy skroni,
Upojenia snom oddani —
Rozmarzeni, rozkochani
Żyli w świecie barw i woni.
Zawsze w wieńcach mieli czoła,
Zawsze tchnęli życia wiosną —
Świat im śpiewał pieśń miłosną,
Hymn rozkoszy brzmiał dokoła.
Ledwie błyskał świt poranku,
Już w powietrzu drżał szept cichy:
„Czy ty widzisz, mój kochanku,
„Pękające róż kielichy?
„Pieśń przebudzeń wstrząsa gaje,
„Kwiat wyśnieża się jabłoni,
„Za motylem motyl goni,
„Dzień się budzi — słońce wstaje!“
A on mówił: „Od chwil paru
„Słuch zapuszczam i wzrok w ciszę —
„Wśród przeróżnych pieśni gwaru,
„Szept najmiłszy — to twój szept.
„Czuję oddech róż!... Wiatr świeży
„Od dalekich jezior powiał,
„Las trzciny trącił u wybrzeży,
„Chłodnem tchnieniem pierś mą owiał...
„Czuję dreszcze drzew i miękkie,
„Cichy widzę lot motyli —
„Lecz w tej błogiej czarów chwili
„Niemasz wdzięków nad twe wdzięki!“

Zaszumiały w koło drzewa,
Przez świat przeszły szmery drzące,
Płynie blasków wkrąg ulewa,
Wschodzi jasne, złote słońce
„Witaj światło!“ zgodnym chórem
Już śpiewali on i ona—
A echemi pieśń niesiona
Drżała długo pod lazurem.

Dobrze było im na świecie,
Czy w dzień jasny, czy w mrok szary —
Niczem dla nich zim zamiecie,
Niczem letnie były skwary.
W noc majową, gdy natchniony
Bard wiosenny dzwonił, gruchał—
On otulał ją ramiony,
Czarodziejskiej pieśni słuchał.
A wiatr cesał jej warkocze,
Pieścił ciało śnieżnej bieli—
Ach! i mieli sny uroczę,
Przebudzenia rajskie mieli.
Czasem brzęknął strumień w dali,
Srebrnym bryzgiem stopy zrosił—
Śpiew słowika, ten bryzg fali
Ku niebiosom ich unosił.
Nieraz i swój głos złączywszy
Prześpiewali tak do rana—
Z najszcześniejszych najszcześniejszy,
Z ukochanych ukochana!

I tak razem, w każdej dobie,
Jak dwa dźwięki w jednej fletni,
Zawsze z sobą i przy sobie,
W noc zimową czy w dzień letni,
Trąca gromy o pierś świata,
Zbudzi wichry burza grzmiąca:
Ona silniej go oplata,
Na pierś pada złękła, drżąca.
Ale wśród tych trwogi znamion
Wierzy w jego siłę mężką,
W hart stalowy, w moc zwyciężką,
W niezachwianą wierność ramion.
I grom przegrzmi i przeblyska,
Mija burza ze swą grozą—
Ja wam powiem ich nazwisko:
On był dębem, ona brzoza!

Kazimierz Gliński.

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewieza.

(Dalszy ciąg).

Śluchała tego rzewnego szczebiotu dzieci i serce jej się ścisnęło jakimś niewymownym żalem. Przytuliła obu chłopców do siebie i objawszy ich główki, rozplakała się sama. Miała jakby poczucie rzeczywistej krzywdy, którą z jej przyczyny pośrednio wyrządzono dzieciom, nie dopuściwszy ich do ojca. Przecież one były w swoim prawie, przecież mogłyby być zapytane ją:

— Mamusiu, dlaczego nam nie pozwolono przywitać się z ojczulkiem, dlaczego nas zabrano z kościoła i przywieziono do ciebie, zamiast do niego?...

Gdyby tak zapytały, co mogłyby im odpowiedzieć?...

Oneby nie zrozumiały jej pretensji, jako żony, jej urazy, jej żalu do ich ojca; im nie mogłyby się tłumaczyć, oskarżając jego a gdyby nawet i to było możliwym, czyż wypadało jej, jako matce odwracać tych młodych, niewinnych, dziecięcych serc od ojca, wymagać od nich, aby go przestały kochać i nie słuchały ezwartego przykazania, którego je sama przecież uczyła!...

Jakżeż mogła gorszyć te proste, naiwne duszyczki własnych dzieci?...

I poczuła w tej chwili całą trudność swojego położenia, całą kolidację takiego nieszczęsnego stosunku, w którym wytwarzały się niepodobne do pogodzenia sprzeczności między prawami żony a obowiązkiem dobrej matki.

I przyszło jej wówczas na myśl, że ten drobny wypadek może być tylko zapowiedzią całego szeregu poważniejszych następstw, których nie da się uniknąć w przyszłości, że życie podobnych zasadzek więcej jeszcze jej zgotuje, zasadzek bez wyjścia, w których coraz trudniejszą będzie jej rola i coraz cięższą odpowiedzialność, jaką będzie musiała wziąć na siebie.

A potem... zadrżała na samo to przypuszczenie— jeśli on, ojciec, zechce kiedy zrobić użytek ze swoich praw i upomni się o dzieci, zabierze jej Tatusia i Mania, powoła się na ustawy, skorzysta z tych ojcowskich przywilejów, co by było wówczas?...

Onaby tego nie przeżyła, nie rozdzieliłaby się ze swojemi dziećmi.

Ale gdyby musiała?... gdyby jej kazano oddać na wychowanie ojcu obu chłopców?

Nie, to niepodobna,—onby przecież nie był tak okrutnym, nie miałby serca rozłączać matki z dziećmi?

Ale dlaczego by nie miał tego uczynić, skoro ona pierwsza względem niego tak postąpiła?... to byłby właściwy tylko odwet z jego strony, nie więcej.

Przestraszyła się tej myśli, jak nieszczęścia, które dziś, jutro spaść mogło na nią i przeciw któremu nie widziała środka ratunku i obrony.

— Więc co?—mówiła sobie. — więc ostatecznie zawsze poszkodowaną muszę być tylko ja?... dlatego, że jestem kobietą, że jestem słabszą, dlatego muszę ustępować, muszę być pogodzoną z moim losem, muszę jak ten bluszcz koniecznie w życiu opierać się o kogoś, choćby ten ktoś nie był wart tego?... muszę gwałt czynić własnemu sercu, własnej ambicji, własnej godności nawet?... Co ja mam począć ze sobą, aby wszystko pogodzić i własną krzywdą nie pokrzywdzić innych, najniewinniejszych w tej całej sprawie?

Oparła czoło na główkach swoich dzieci i zbiedzona, smutna, spłakana, rozmyślała nad sobą i nad niemi, a obaj chłopcy instynktownie tuląc się do niej, cichym, rzewnym szeptem co kilka chwil uparcie prosili się:

— Mamusiu!... chodźmy do ojczulka!... — nie przeczuwając nawet, ile jej bólu i przykrości sprawiają temi słowami.

Nie wyobrażała sobie, że życie może być tak ciężkiem, tak zagmatwanem, tak okrutnem, żeby się aż nieznośnym wydawało.

Na Walerego zaś w tym samym czasie przychodziły inne, choć nie mniej dokuczliwe refleksje.

Samotność, odosobnienie, to słomiane jego wdowieństwo, ta niezdecydowana pozycja, jaką zajmował, ciążyły mu coraz bardziej, zwłaszcza teraz przy zbliżających się świętach Wielkanocnych.

Po raz pierwszy od sześciu lat miał je obchodzić sam, w pustym domu, w którym mu i tak wysiedzieć było trudno; do ludzi zaś nie śmiał się w tym roku wybrać i nie miał zamiaru iść na święcone gdziekolwiek, aby nie potrzebował spotykać się ze znajomymi, odpowiadać na drażliwe zapytania, udawać, że nie rozumie lub nie słyszy złośliwych uwag lub przycinków.

Skrepowany się czuł—a po owem „Stabat Mater“ w kościele Reformatorów zgotował sobie niespodzianą przykrość, która jego artystyczną miłość własną ubodła do żywego.

Na drugi dzień spodziewał się pochwalnych wzmianek i reklamy, a znalazł w dziennikach obo-

jętną notatkę, w której nawet nazwiska jego nie wymieniono, jako dyrygenta.

Jedno z pism pomieściło obszerniejszy artykuł p. t.: „Muzyka po kościołach“, w którym złośliwe uwagi skierowało wprost do niego, zarzucając mu, że wprawdzie można śpiewać na chwałę Bożą—nieuczucie a nawet fałszywie, ale skoro ktoś z tytułem *Maestra de bel canto* urzędująca pretensjonalne popisy i wybiera tak trudne kompozycje, jak wykonane wczoraj „Stabat Mater“, powinienby się więcej obliczyć z siłami i nie porywać na dzieła, wymagające wielkiej precyzji i artyzmu.

„Pan Grosiecki wyprowadził na chór zastęp swoich uczni i uczennic, za mało przygotowanych do tak poważnego zadania—pisał prawdomówny sprawozdawca,—skutkiem czego zamierzony efekt chybił a same dobre chęci nie starezyły.

„Jako nauczyciel śpiewu i niegdyś sam artysta, powinienby p. Grosiecki więcej dbać o opinię swojej szkoły i nie narażać swoich elewów na publiczne popisy przed dostatecznym wyrobieniem ich warunków wokalnych, nie zawsze bowiem cel uświęca środki“.

Zmiał numer dziennika, jak szmatę i cisnął go o ziemię z oburzeniem.

— Intryga!... podła intryga!—chęć mi zaszkodzić w opinii, chęć mnie zdyskredytować, jako nauczyciela,—myślał— to nikt inny, tylko ten łajdak Ygrecki, który mnie ma na wątrobę za to, że mu się nie kłaniam. Ja mu pokażę!... zaraz po świętach odpiszę mu tak, że mu w pięty pójdział osioł jakiś!... bałwan!...

Z tem wszystkim miał uczucie, jakby go pokrzywał po grzbiecie wysmagano.

Do wszystkich udręczeń przybyła mu teraz gorycz artystycznego zawodu, dotknęto go w najdrażliwszą stronę, nazwano go lekeceważąco: „niegdyś artysta“; to go najbardziej dotknęło.

Zapoznawano jego talent, jego fachową specjalność, kopano pod nim dołki.

Miał ochotę zrobić awanturę i wytargać publicznie za uszy tego Ygreckiego; jak on śmiał coś podobnego o nim napisać!...

Ale to tak; albo tu się znają na czem w tym kraju, albo tu umieją uszanować czyj artystyzm, czyją pracę, czyje zasługi?... alboż to można liczyć tu na uznanie, uznanie u swoich!... śmiechu warte to wszystko.

Zniechęcony był a najbardziej mu to dogryzało, że się nie miał przed kim wygadać.

Dawniej w podobnych wypadkach wracał do domu i wylewał całą żołą przed żoną,—ona go słuchała z współczuciem, z nabożeństwem, z wiarą, oburzała się z nim razem, umiała go pocieszyć, rzucić zawsze jakieś dobre słówko, jakąś trafną uwagę i naprawiała mu zły humor.

Dzisiaj nosił to wszystko w sobie, truł się, gryzł, przeżuwał tę gorycz i nie miał przy boku nikogo kto by go pocieszył, powiedział mu:

— Nie sobie nie rób z tego!... zazdroszcza i powodzenia, to prosta zawiść, nie innego. Ról swoje dalej i o nic nie pytaj!...

Nie było nikogo, co by mu pieściwą, miękka, przyjazną dłońią wygładził to pomarszczone czoło, odgarnął mu włosy ze skroni, uśmiechnął się do niego pocieiwie i wycisnął pocałunek na czole, na oczach, na ustach.

— Wszystko mnie opuszcza!...—wyrzekął przed sobą, kiwając głową z miną tak pochmurną i zgnębioną, jakby całą karierę swoją widział zachwianą.

Poszedł do matki, aby się przed nią wyżalić, ale Grosiecka była zajęta pieczeniem bab, które się jej nie udały na święta i wśród tych dwóch smutków, matki i gospodyni, nie wiedziała na razie, które nieszczęście większe.

Roztargniona była, popłakiwała, dreptała z pokoju do kuchni a z kuchni do pokoju, miała minę okrutnie markotną i powtarzała tylko:

— Jak się wiedzie, to się wiedzie!...

Walerego uraził w matce ten brak gorętszego współczucia i przejęcia się jego sprawą, ale nie dał jej poznać tego; zamknął się w sobie i z jakimś politowaniem spoglądał na swoją starą, która między nim a babami w piecu dzieliła swoje serce.

A przecież te baby tylko dla niego piekła, tylko o nim myślała i to całe święcone jedynie dla swojego Walerka przygotowywała na jutro.

Przed kilku dniami spotkała w kościele Wicunię. gdy była u spowiedzi i miała na ten temat długą konferencję z księdzem przy konfesyjale, po której wróciła do domu pochmurna i zamyślona; miała do pomówienia z synem w kwestyi bardzo dla obojga drażliwej i nie wiedziała, jak zacząć.

Trafiła na spowiednika, który jej rozstrząsał sumienie i wprowadził ją w kłopot swoimi zapytaniami co do stosunku jej do syna i synowej.

— Cożes ty jako matka zrobiła, aby złe naprawić, aby nieszczęście odwrócić? — zagadnął ją ksiądz; — czyż nie wykonałaś swojego pierwszego obowiązku, by ich pojednać?... pozwoliłaś im się rozjeść i rozluźnić ten związek, który Bóg zacieśnił i pobłogosławił?... A toż, jako matka dobra i doświadczona powinnaś wpłynąć na syna swego i na synową, aby Boga nie obrażali, weszli w siebie, poczuli się do winy, i które winniejsze postarało się dla dobra tych dzieci nieszczęśliwych, uczynić pierwszy krok do zgody.

Milczała i słuchała moralnej nauki swojego spowiednika z ustami zaciśniętymi, kiedy przypominał jej obowiązki, dotąd zaniedbane.

Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie, nie śmiała się odezwać; wobec pośrednika między Bogiem a swoim sumieniem traciła rezon i pewność siebie.

Pomimo całej miłości dla Walerki, nie śmiała go czegoś bronić ani oskarżać synowej, której nie wiedziała, coby zarzucić mogła.

— Słepa miłość jest równie grzeszną, jak brak wszelkiej miłości, — mówił ksiądz, — otwórz oczy matko, Boga wezwij na pomoc i zrób, co do ciebie należy!..

Odeszła od konfesyjalu skruszona, zakłopotana, z ciężkim sercem, upokorzona słowami spowiednika; wiedziała teraz, że powinna złe naprawić, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

Chciała pomówić w pierw z synem, czekała, aż sam przyjdzie do niej, ale przez kilka dni nie pokazywał się wcale, zajęty próbami do „Stabat Mater“.

W Wielką Sobotę nad wieczorem dopiero odwiedził ją, ale trafił w taką złą chwilę i przyniósł z sobą wiadomość o niesprawiedliwej napaści na siebie w prasie.

Jakże go miała jeszcze bardziej rozdrażniać!..

On jednak przerywał rozmowę, stawał u okna, zamyślał się, wzdychał, brał za kapelusz i ode drzwi wracał znowu; coś więcej widocznie miał na sercu i na języku, tylko się z tem zdradzić nie chciał, czy nie umiał.

Nareszcie żegnając się już z matką, na samem wychodnym, rzekł:

— To jutro już Wielkanoc?..

— A tak, moje dziecko, — odpowiedziała mu, wzdychając również.

— No, patrzcie państwo, jak ten czas leci!..

— Oj, leci, leci!..

— Przecież to już będzie z pięć tygodni, jak...

— Jak co?..

— No, jak się przeniosła do babki, — dokończył niechętnie.

— Ach, ona?... a tak.

Zmiarkowała się, że chce mówić o żonie.

— Widzisz, kupiłam baranka, jak co roku, — zaczęła, pokazując na komode, na której stał baranek z cukru z czerwoną chorągiewką; — myślałam, że... że może dzieci przyjdą...!

Spojrzała na niego z pod oka, jakie na nim to wrażenie sprawi; stał oparty o futrynę drzwi i zagryzał usta z jednej strony.

— Ty... dzieci nie widziałeś od tego czasu? — zagadnęła go nieśmiało.

Potrząsnął głową w milczeniu.

— Hm!... możeby... jak myślisz?... możeby jednak pojsć do dzieci?... takie uroczyste święta!.. zaniosłabym im tego baranka niby od ciebie, niech się ucieszą... co?

On stał i milczał ciągle.

— Poszłaby mama? — spytał po chwili niedowierzająco.

— Ha, no, czemuż nie?... godziłoby się.

Nie mówił nic, tylko usiadł na krzeselku przy drzwiach i rozmyślał nad czemś, uderzając laseczką o koniec buta i pogwizdywał z cicha między zębami.

Oboje czuli, że jest coś między nimi, co się domaga wyjaśnienia i że sobie coś chcą powiedzieć, tylko nie wiedzą, jak zacząć.

— A to niech mama idzie! — odezwał się on znowu pierwszy po dłuższej chwili.

— I cóż im powiedzieć?..

Pytanie go to zakłopotano; nie mógł tak na razie znaleźć odpowiedzi.

Matka zbliżyła się do niego, oparła mu obie ręce na ramieniu i zaczęła szeptać cichym, urywanym głosem.

— Bo to... moje dziecko... możeby też najlepiej było, żebyście wy się... przeprosili?... co to warto, do czego to podobne?... Obraza Pana Boga tylko i nie więcej. Szkoda dzieci, szkoda ciebie, ja przecież widzę, jak ty się zmieniłeś, tyś się już przyzwyczaił do innego życia... Nie zapieraj się, ja matka... ja cię znam. Trzeba żebyście się pogodzili, żeby ona wróciła do ciebie... Ja jej to powiem, choć mi będzie ciężko, ale powiem a ty zrób swoje i będzie dobrze. Mnie ksiądz przy spowiedzi upominał, abym na ciebie wpłynęła... Zawsze to ona twoja żona i matka twoich dzieci... Już ja jej powiem, co mam powiedzieć, ale ty także... ty także zrób, co do ciebie należy...!

Mówiła do niego jakby go chciała oszczędzać, nie zadrasnąć, nie dotknąć, unikała nawet pozeru, że mu jakkolwiek winę przypisuje; wyglądało to tak niemal, jakby się za Wicunią do niego wstawiała.

Słowa z trudnością przechodziły jej przez usta, ale mówiła ciągle, spełniając obowiązek sumienia, które jej spowiednik roztrząsał przy konfesyjale.

On słuchał, słuchał i rozważał; spokorniał nawet dziwnie i wyraz miał jakby rozrzwienia w twarzy.

Kiwał głową i niby potwierdzał słowa matki, zgadzając się na wszystko.

— Niech jej mama powie, niech jej mama powie, — powtarzał wreszcie tonem przyzwalającym; — cóż, ja się nie upieram. Przecieżem jej z domu nie wypędza!.. Może każdej chwili do niego wrócić, ma prawo.

W głębi duszy jednak ta propozycja matki sprawiła mu przyjemność i dogadzała jego własnym życzeniom, choć nie okazywał tego po sobie i przybierał minę człowieka obojętnego, wyrozumiałego na wszystko, gotowego do zgody.

Stara się ucieszyła.

— No... to wiesz co? — zaczęła nagle — to ja jeszcze dziś po rezurekcyi pójdę do niej!..

— A niech mama idzie.

— I przemówię jej do serca.

— Dobrze.

— I może Bóg da, że się to zrobi.

— Owszem.

— Ale ty tu musisz przyjść jeszcze do mnie dzisiaj dowiedzieć się.

— Mogę.

Ożywił się i powstał z krzeselka, nawet matkę w rękę pocałował a odchodząc, zdobył się pierwszy raz na jakiś ton serdeczniejszy i we drzwiach jeszcze rzekł:

— A niech mama dzieci uściska odemnie!..

Grosiecka zapomniała o babach w piecu, tak była uradowana i przejętą myślą pogodzenia syna z żoną.

Nie wątpiła ani na chwilę, że jej się ta missya uda i chociaż uważała to sobie za ciężkie poświęcenie, że będzie musiała iść do Lidzkiej, aby z Wicunią się zobaczyć, brała na siebie ten krzyż Pański w poczuciu obowiązku, który od czasu spowiedzi nie dawał jej spokoju.

Ubrała się i poszła do kościoła w pierw na rezurekcyę.

Walery zaś wstąpił do domu z przyzwyczajenia dowiedzieć się, czy nie było kogo, czy nie przysłało czego, czy nie zapytywał ktokolwiek?... ciągle mu się zdawało, że powinien kogoś zastać u siebie i nieraz otwierał drzwi swego mieszkania z jakąś nieuzasadnioną niezem nadzieją, że wszedłszy, posłyszyny nagle dzieci i zobaczy idącą naprzeciw niego Wicunię.

Uważał to za tak naturalne i możliwe, że nie byłby się nawet zdziwił, gdyby żona z dziećmi którego dnia zjawiała się tak samo niespodziewanie w domu, jak niespodziewanie z niego zniknęła.

Bo ostatecznie o co jej właściwie poszło?... o te głupie listy i bileciki, do których on żadnej wagi

oddawna nie przywiązywał, których nie byłby nawet po raz drugi odeczytywał, które sam uważał za szpargały bez wartości?..

Te kobiety mają dziwną naturą.

Ze też one zaraz wszystko tak na seryo biorą i zaraz takie wielkie historye robią z lada głupstwa!.. Wielka rzecz taka niewinna awanturka, która każdemu mężczyźnie się zdarzy, a że jemu trochę częściej się zdarzała, niż innym, no to trudno, — miał szczęście do kobiet.

Przecież się nie mógł od nich kijem opędnąć.

W gruncie rzeczy, to na honor, one go same więcej atakowały, niżeli on się do nich zalecał; one go wabiły, kusily, prawie mu się narzucały pierwsze, a on był tylko delikatny i przez delikatność ulegał i płał się potem w takie awanturki.

Ale przecież poważniejszego nic w tem nie było; ot, zabawka, flirt, zabicie czasu.

Zresztą, to dawne historye, to już minęło, przeszło, a co było a nie jest nie pisze się w rejestr; gdyby nie te nieszczęsne listy, byłaby się nigdy w życiu nawet o tem nie dowiedziała, bo niech powie sama, czy dawał jej to poznać, że się zabałamucał z jaką inną, czy nie był zawsze tym samym dla niej Walerkiem, czy nie postępował z nią jednakowo, czy odsuwał od siebie, poniział, ubliżał jej?..

Nie, tego nie mogła o nim powiedzieć.

Przeciwnie, w takich razach, kiedy coś tam gdzieś kiedyś przeskrobał i miał na sumieniu, bywał dla niej nawet lepszy, grzeczniejszy, czulszy, — no, niech powie sama, niech sobie dobrze przypomni!..

A zatem, dobrze się zastanowiwszy, nie powinaby mieć do niego pretensyi o to, że ją zdradzał, bo w gruncie rzeczy, to on zdradzał tamte inne dla niej.

Z niemi przecież zawsze się na końcu rozchodził a z nią żył do tej pory i byłby żył dalej w tym samym stosunku, gdyby się nie była pierwsza zerwała i porzuciła go bez namysłu, w passyi, bez zastanowienia, bez względu na dalsze konsekwencye.

Ostatecznie, on nie zapiera, że postępował trochę lekkomyślnie, to prawda, że nie powinienby ze swego szczęścia do kobiet tak często korzystać, że mógłby już raz dać pokój tym flirtom, zabawkom, igraszkom, po których mu zostawał nawet niesmak, obrzask jakiś, jak po likierach lichego gatunku, ale i ona, — o, ona powinaby być więcej wyrozumiałą!..

— Każda żona powinna być rozsądną i wyrozumiałą na takie rzeczy; powinna trochę patrzeć przez palce, bo na tem nie wiele traci a zawsze z góry może wiedzieć, że w końcu do swoich praw wróci.

O tak, tak, — Wicunia jest jeszcze dzieckiem, niedoświadczonym dzieckiem, jej to trzeba wytłómaczyć, przekonać ją, nauczyć i niech tylko zechce powrócić, porozmawiać z nim, to on to już zrobi.

Rozumując w ten sposób, siedział przy swoim biurku i czekał tej godziny dziesiątej, o której miał pójść znowu do matki, dowiedzieć się o rezultacie jej wizyty u Wicuni.

Nagle przysłała mu heroiczna myśl do głowy.

Te listy, te świstki, które tyle złego mu narobiły — trzeba zniszczyć raz na zawsze, trzeba się zemścić na nich.

To się należy, tak, to się należy nawet Wicuni, to będzie dla niej satysfakcyą.

Ze też mu od razu do głowy to nie wpadło!..

Wyciągnął szufladę, zapalił świecę i poszedł z nią do pieca.

Wziął jedną garść pełną tych zwietrzałych listów, bilecików, pamiątek, jak śmiecie, zmiął je i nie przeglądając nawet, cisnął w piec; wziął potem drugą i podpalił.

Płomień je ogarniał powoli, wciskał swoje błękitnawo-czerwone żądła pomiędzy pojedyncze kartki i zaczął je rozgryzać checiwie.

Walery patrzył obojętnie na to *auto-da-fe* i pogwizdywał.

(Dokończenie nastąpi).

Z AMERYKI.

Zapóźniłem się z listem moim do was nie z braku chęci ale niesłychane burze i zawieje srozące się na Atlantyku wzdłuż wybrzeży Ameryki północnej, zatrzymały mnie tą myślą, że list mój spocząć może na dnie morskim. Komunikacja z Europą przerywała się nieraz zupełnie, bo chociaż okręta przeznaczone do przebywania Atlantyku są szczególnie mocno budowane i odznaczają się silnym mechanizmem, nie narażano się chętnie na walkę z przepięknie żywiołami, bo wiecher dał szalenie, więc zatem fale były tak wysoko i silnie, że unosiły statki największe, z ładunkiem bynajmniej nie lekkim, jak małą łódkę jakąś. Jednocześnie temperatura obniżyła się bardzo nawet w Ameryce południowej i śnieżne zawieje zrzuciły wiele szkody we Florydzie, posiadacze ziemscy obliczyli też straty ztąd wynikłe na pięćdziesiąt milionów franków. Wyrzucone przez bałwany szczytki tworzą na wybrzeżach Labradoru, Kanady, New Foundlandu, widok przykry nie tylko dla oka, bo dowód to ile istot ludzkich pochłonięły zburzone fale. W początkach lutego wielki, kosztownym towarem naładowany statek „Gaskonia,” tak porwały wzburzone fale, że dziewięć dni i nocy rzucały nim jak piłką z bałwanu na bałwan i gdy statek ten, który już uważano w New Yorku za pograżony w głębi fal, ukazał się jednego poranku u brzegów morza, tłum ludzi zbiegł się na powitanie go, ściskając sobie ręce i płacząc zarazem z radości, a obok tego mnóstwo łodzi i łódek wypłynęło na morze, aby powitać prędzej oceanicznych.

A była tam między podróżnikami rodaczka nasza, bardzo tu ceniona dla muzycznego talentu swego, pianistka Szumowska, znana dobrze w Warszawie. Rzucono się do niej gromadnie, gdy statek zawinął na koniec do przystani i wyniesiono ją na ląd na rękach, a trzeba doświadczyć takiego przejścia, aby zrozumieć co znaczy wtedy stanąć na stałym gruncie pod nogami.

Że nie pochłonięły ją fale, że w ogóle nie miała gromadka ludzi, tak podróżnych jak załogi, nie skończyła okrutną śmiercią topielców, przypisać to trzeba dzielności i przytomności umysłu kapitana okrętu, Ludwika Baudelon, którego też wyniesiono z okrętu na rękach, a następnie otrzymał w nagrodę medal złoty nagrody za męstwo i przytomność umysłu. Handlowa arystokracja New Yorku złożyła mu niemal majątek w kosztownych podarkach, jakimi go obsypywano, bo też nie ma chyba nigdzie na świecie ludzi tak bogatych, jak w tem mieście. Właśnie w tych czasach zmarł tu już nie milioner, bo posiadacz miliardów, przemysłowiec Jay Gould, którego majątek przedstawia około 162.000.000 rs., licząc na tę monetę. Przedsiębiorstw przemysłowych tak jego, jak jego rodziny trudno zliczyć i zapisać by trzeba długą kartę papieru ich wyliczaniem, ale najwięcej zajmującą jest tu historia jego życia, która zdawać się może bajką z Tysiąc nocy i jedna, warto też ją poznać.

Dwunastoletnie chłopię przywędrowało do New Yorku, mając na grzbiecie stare, połatane odzieni a drugie nowsze nieco i chowane od święta w łomoczkę wraz z jedną, bynajmniej nie cienką koszulą i dwoma szelągami w kieszeni. Ojciec jego, wyrobnik, zarabiający na życie w krwawym znoju czoła, wypędził go z domu w świat zanim go było można nazwać wyrostkiem i kazał mu szukać szczęścia w dużym mieście, w stolicy stanu, a można powiedzieć, że syn był posłusznym, bo je znalazł. Początkowo chłopiec do posyłek, czekający od świtu dnia na ulicy, aby ktoś dał mu możność zarobienia kilku groszy, przytulił się do poczciwej rodziny ciesielskiego majstra, a w kilku lat potem został pomocnikiem inżyniera, w dwudziestym roku życia założył na własną rękę garbarnię a wkrótce potem bo w lat kilku wznosił miasto, które nazwał Gouldborouh. Mając lat dwadzieścia pięć posiadał 400.000 franków kapitału, w siedem lat potem

siedem milionów i nazywany był królem kolejowym., Napoleonem spekulacji, bo brał udział w przedsiębiorstwach najrozmaitszych tak śmiało, a przytem tak przezornie, że zamykając oczyposiadał 1.100.000.000 fran. (około 540.000.000 rs.) a przecież umarł z głodu. Praca, wprawiająca go z jednej strony w ciągłą gorączkę, z drugiej przykuwająca go do biurka, spowodowała chorobę, złe trawienie i można powiedzieć, nie mijając się z prawdą, że bogacza tego zabił głód.

Są ludzie, którzy patrząc na rozwój pracy nowoczesnej, na przykucie do niej człowieka dowodzą, że ludzkość przepracowana wyginie w końcu śmiercią nędzarzy na stosach złota, na kopcach zboża.

Ameryka zaczyna już przy swej skrętnej, chciwej pracowitości być bliską tego stanu. Zboża zasiewanego na nieprzemierzonych, niewyjałowionych jeszcze a coraz to szerzej rozciągających się obszarach nowin, uprawianych rękami cisnących się tu wychodźców z Europy, jest już tyle, że są okolice w głębi rozległych, żyznych, bo niewyjałowionych odwieczną produkcją Stanów, że zaczynają palić w piecach fabrycznych ziarnem w miejsce węgla kamiennego, który za to jest tu bardzo drogi, a obok nadmiaru chleba, ma tu człowiek niemal nadmiar złota. Miesięcznik „Nature,” poświęcony naukom przyrodzonym, a wychodzący w New Yorku, podaje dane statystyczne, wykazujące w jakiej ogromnej ilości wzrasta produkcja złota nie tylko w Ameryce.

W 1893 r., pozyskali go sobie ludzie na obszarze kuli ziemskiej 234.000 kilogramów, mających wartość 807 milionów franków. W 1894 r., produkcja złota wzrosła znacznie w skutek wydobywania go z kopalń Trensvalu i można śmiało powiedzieć, że łakomstwo człowieka na złoto zaspokoi się ostatecznie, gdyż odliczając nawet złoto wydobyte z kopalń Transvalu między 1891 a 1893 r., przybyło go ludziom w wartości 176 milionów franków. Stany Zjednoczone zdobywają sobie najwięcej tego cennego kruszcu i w 1893 r., posiadały go 54.100, Australia 53.698, Chiny 12.678 killogramów. Można też powiedzieć, że w ogóle produkcja Ameryki jest najbogatszą i zaczyna przedstawiać niebezpieczeństwo zalania Europy tak wyrobami swego przemysłu, jak płodami niewyjałowionej jeszcze gleby. Ambasador niemiecki w Waszyngtonie przedstawił właśnie rządowi amerykańskiemu powody, dla których wydano w Niemczech zakaz dowozu amerykańskiego bydła, co zostało bardzo źle przyjętem nie tylko przez sfery rządowe; dzienniki rozpięły się ostro dowodząc, na podstawie wykazów statystycznych, ile to nędzarzy europejskich przyjmuje Ameryka.

Już to pod względem wielkim rywalizacja Ameryki daje się uczuć w Europie w sposób budzący niezadowolenie. Powstał tu właśnie zamiar nowej komunikacji kolejowej okrętowej, która by przez zrzęzne skrócenie drogi odebrała pasażerów przewozowi statków europejskich, ale jest to rzeczą naturalną, że kto lepszy, ten pierwszy, a obok tego gazety amerykańskie rozpięły się z powodu wyrażonego w przedmiocie tym niezadowolenia dzienników europejskich, ile to nędzarzy bez chleba znalazło tu przyjęcie i zaspokojenie potrzeb swoich dodając, że obok tego Ameryka daje zniewieściałej Europie wzory pracy i zarazem przedstawia jej ideał postępu, do którego ludzkość dążyć powinna, jak to wykazuje wydane przez centralną kommisję statystyczne dzieło przedstawiające sprawozdanie z wystawy w Chicago. Już wam o tem wspominałem, ale zapewne wspomnę jeszcze i może kilkakrotnie, bo dzieło to jest nie tylko niepospolitej pod wielu względami wartości, ale w poszczególnych rozdziałach poznajamia czytelnika z całym ustrojem życia w Ameryce: celów do których się tu dąży, a których podstawą jest wiedza dla wszystkich, bo wtedy wszyscy będą się przykładać do dobra ogólnego. Jeden z rozdziałów książki przedstawia znaczenie przedsiębiorczości w człowieku: człowiek przedsiębiorczy potrafi sobie zawsze znaleźć cel dla dążeń swoich i przez energią posiadaną jest zdolnym do zniesienia koniecznych tu trudów, nie istnieje tu żadna różnica stanów, bo ludzie tacy zawsze i wszędzie znajdują sobie w zakresie danym pole dla działalności odpowiedniej.

Przykład tego przedstawia życie zmarłego tu niedawno człowieka, Fryderyka Douglasa, murzyna i niewolnika, który przecie przyłożył rękę do wielkiego dzieła zniesienia niewolnictwa. Był on do lat dwudziestu rzeczą swego pana, niezłego człowieka, który dobrze się z nim obchodził i dał mu możność pewnego wykształcenia umysłu, bo nauczania się czytać i pisać, co przecie stan jego uczyniło jeszcze boleśniej. Czuł się człowiekiem, a być maszyną... co za położenie bolesne i jednego razu wezbrane w piersi jego uczucie, kazało mu zerwać łańcuszek od swego właściciela i przybrałszy nazwisko Douglasa pracował w Massachusetts w fabryce jakiejś, gdzie zdolności jego umysłu znalazły sobie pole do rozwoju. Wymowa jego zaczęła zwracać nań uwagę ludzką, lecz murzyn to w Ameryce pary i puścił się po za Ocean, do Anglii, gdzie znalazł pole dla rozwoju zdolności swoich. Przemowy jego do współbraci w pracy, zwróciły nań uwagę, mógłby być w Europie wybić się na stanowisko wyższe, ale w piersi jego biło serce szlachetne i zapragnął powrotu do ojczyzny, do braci swoich. Panie angielskie z miasta Newcastle złożyły 150 funtów szter., aby go wykupiły i teraz rozpoczęła się nowa faza jego losu; powróciwszy do ojczyzny, zapragnął współudziału w staraniach, dążących do zniesienia niewolnictwa w Stanach północnych, więc pisząc i przemawiając z katedry do serca i sumienia ludzi, ogłaszał zasadę wolności człowieka, a gdy sprawa, której poświęcał życie, doszła do szczęśliwego rozwiązania, sprawiedliwy i rozumny oddał się całemu ułagodzeniu nienawiści murzynów do białych i uczynił wiele dobrego w tym zakresie, działając na obie strony zbawiennie i rząd powierzył mu stanowisko zarządu Kolumbii a dożywszy na niem lat późnej starości, cicho i spokojnie zamknął powieki, a z jaką czcią i żalem żegnali go ludzie, dowiódł tego pogrzeb, któremu towarzyszyły wszystkie sfery ludności, chcące złożyć hołd jego zasługom obywatelskim i idei, której służył życie całe.

Dziennikarstwo amerykańskie jest obecnie potęgą, wywierającą wpływ bardzo donośny i to na wszystkie sfery publiczności, bo starają się tu bardzo, aby tak było i gdy z jednej strony stronnictwa polityczne usiłują pozyskiwać sobie zwolenników, z drugiej propaganda pojęć i idei odbywa się przez oddziaływanie czasopismów i z roku na rok rozszerza się wpływ literatury peryodycznej na naród. Rozwój tej gałęzi piśmiennictwa jest tu ogromny a wzrost jej zwiększa się nieustannie. W 1875 r., społeczeństwo amerykańskie posiadało na całym przestworze Stanów Zjednoczonych pism czterdzieści dziewięć, obecnie ostatnie spisy statystyczne wykazały ich 20.000; dzienników blisko 2.000, reszta pism tygodniowych, miesięcznych, a dodać należy, że przedstawiają one kapitał 700 milionów franków, a dają dochodu rocznego 900 milionów. Współpracownicy otrzymują ogółem 350 milionów honorarium i nam wydawać się to może bajką lub omyłką w cyfrach, a przecie jest to rzeczą stwierdzoną przez spisy statystyczne, więc omyłki być tu nie może. W Bostonie, gdzie prasa peryodyczna rozwinięta się najpierw, naczelni redaktorowie dzienników pobierają od 12.000 do 30.000 franków pensji rocznej, redaktorowie główni od 9.000 do 13.000 fran., redaktorowie części politycznej od 6.000 do 9.000 fran., referenci literaccy, artystyczni, naukowci, od 6.500 do 9.000 fran., reporterzy od 2.500 do 9.000 fran., a choć może się to wydać dla nas bajką, lub omyłką, jest jednak prawdą, że spisów statystycznych zacierpnęta, że w Nowym-Yorku, gdzie rozwój dziennikarstwa jest największy, jeden z redaktorów naczelnych pobiera taką pensją jak prezydent Unii, to jest 250.000 franków, a inni redaktorowie poszczególnych oddziałów otrzymują od 60.000 do 80.000 fran., zatem więcej niżeli ministrowie, ale dziwić się temu nie można skoro kronikarze, krytycy literaccy, miewają dochodu od 25.000 do 40.000 fran., a reporterzy od 4.000 do 16.000 fran.

Cyfy te objaśniają tak stan finansowy kraju, jak i umysłowy jego rozwój, przy tem społeczny układ życia sprawia, że każdy tu jakiś dziennik czyta i jeżeli go nie prenumeruje sam, to go szuka w miejscach publicznych, wie też co się dzieje w narodzie, rozumie jego potrzeby, braki lub korzyści i w skutek tego umysły się tu rozświetlają, a rozwój naukowy

łączy się z rozwojem życia praktycznym. Niemniej znajdują się i tu lkarzy, tylko że wzlotem innym niż tych, których skrzydła opalały się w ogniu słońca. Niejaki Lamgley, zamieszkujący Waszyngton, uczony badacz przyrody i człowieka, który na jej łonie żyjąc powinien znać jej moce, aby je opanował i wprzągnął w swój rydwan, badał lata długie lot ptaków, układ ich skrzydeł, oddany całkowicie myśli swojej, zbudował sobie pracownię wśród otwartej przestrzeni, o trzydzieści mil od Waszyngtonu na wybrzeżu rzeki Kwantuka, trawiąc dnie i noce nad zdobyciem sobie przyrządu, który by uniósł człowieka w powietrze. I zbudował go nakoniec z aluminium, formy podłużnej, podobny kształtem do ryby rozciętej, a opatrzone dwoma skrzydłami, mającymi przeszło trzy metry. Dwie śruby, wprowadzone w ruch motorami parowymi, działają tu, a próby czynione, przeciw jeszcze bez podróznika, udały się ponieważ, ponieważ okręt ten powietrzny przepłynął przez fale eteru przeszło pół wiorsty i opuścił się na morze, gdzie go czekały liczne łodzie. Twórca jego nie czuł się jednak zadowolonym z tej próby, gdyż aeroplan dwa razy zmieniał kierunek, nadawany mu przez motor, a raz rzucił się w bok tak silnie, że gdyby znajdował się tam człowiek, wypadł by niemiłnie i znalazł śmierć okrutną. Zamknął się też znowu w swojej pracowni, aby dojść co tu jest brakiem?

Już to człowiek tegoczesny nie próżnuje i idzie w zapasy z naturą, aby jej moce podbić i w służbę swoją wprzeznąć. Jeden z tych spekulantów, jakich nie brakuje w Ameryce, mieszkaniec New-Yorku, wpadł na śmiałą myśl zbudowania sztucznej wyspy na Atlantyku z celem bynajmniej nie badań przyrodniczych, ale zebrania grosza, którego mu nie brakuje przecież, ponieważ może się puszczać na takie ryzykowne przedsięwzięcie. Wyspa, dla której miejsce już wybrano, ma się wzniesić wśród głębin dochodzącej blisko dwudziestu dwóch metrów, a na której ma stanąć pyszny hotel dla przebywających Ocean podróżników, otoczony wiszącymi ogrodami, a wśród nich dźwignie się teatr i inne miejsca rozrywki, w pośrodku pracownia malarska dla artystów pendzla, chcących odtwarzać krajobrazy morskie. Drugim przedsięwzięciem także niebywałym jest zamiar hodowania tak małego większego gatunku, aby wyuczone odpowiednio mogły pracować w polu, zastępując człowieka. Jeden z plantatorów Brazylii, próby te przedsięwziął i skutek miał się okazać pomyślny, jak donoszą pisma miejscowe. Przyuczono już małpy do zbierania lnu i miedlenia go takiego, że włókno zdatne jest wprost do użycia, a rzecz nie jest zapewne bajką, bo donosi o tem pismo poważne. „Nature ed arte.“ Po naszym ludzie, przychodzą tu małpy...

DZIEŃ U KSIĘDZA KNEIPPA.

Nad całym południowym bawarskim płaskowzgórzem unoszą się mgły jesienne; a pociąg lotem błyskawicy pędzi z nami ku zachodowi. W południowej stronie, ukazuje się malowniczy krajobraz okolicy jeziora Ammer, z połyskującą jego taflą, jak olbrzymie zwierciadło, dalej wznoszą się starożytne wieżycy miasteczka Landsberg nad Lechem, słynące z bohaterskiej ich obrony przez kobiety, od Szwedów. Mijamy jeszcze kilka stacyj, poczem pociąg nasz zatrzymuje się w Türkheim. Nie tu nie zwraca uwagi widza, prócz zwykłych budynków stacyjnych, otoczonych dokoła sosnowym lasem w gęstej mgłę tonącym.

Kilkanaście zaprzęgów jedno i dwukonnych, o żółtych, niebieskawych pudłach stoi przed dworcem. Nie decydujemy się na żaden z nich, i zapytujemy żandarma zabawiającego się rozmową z jednym z furmanów, o drogę prowadzącą do Wörishofen. Stróż bezpieczeństwa publicznego wskazuje nam drogę prowadzącą od dworca przez las, w po-

łudniowym kierunku. Dobra godzina drogi dzieli nas od Wörishofen.

Kilku furmanów zaprasza nas z zachęcającym gestem do zajęcia miejsca w ich bryczkach. Dziękujemy o tyle uprzejmie, o ile zasługuje na to niezupełnie bezinteresowne ich zaproszenie, i podróż odbywamy pieszo.

Wkrótce zagłębiając się w pełen melancholii las, a właściwie są to grupy drzew ginących w mglistej pomroce. Droga jest nadzwyczaj niedogodna, pokryta grubym szabrem i przernięta ogromnymi kałużami, tak że zaledwie w dobre pół godziny po wyruszeniu ze stacyi, mija nas ostatnia z bryczek, toczących się wolno, jak po grudzie. Wtem las rozrzedza się, mgła opada, i spostrzegamy w południowo-zachodniej stronie rozległą płaszczyznę, a na krańcu równiny ukazują się znów wzgórza i szwabska wioska, z kilkoma wznoszącymi się w niej wieżyczkami i białymi domkami o czerwonej dachówce. Jestto Wörishofen.

Kiedyś za niepamiętnych czasów, przez dolinę Lechu w Alpach, z gór wiecznie śniegiem pokrytych, pędził prawdopodobnie potężny strumień, składając w swym pochodzie wielkie odłamy skał; dziś ślad tylko po nim pozostał. Wörishofen leży na zachodnim wybrzeżu jego szerokiego łożyska, którego pług dotknąć się niema odwagi, zbudowane jest w połowie na równinie, a w połowie oparte o graniczące wzgórza. Zamiast nieistniejącego już potoku, płyną przez środek wioski spokojne wody Wettbachu, który pomimo skromnego pozoru, dostarcza obfitą ilość wody do kuracyi prowadzonej przez znakomitego artystę w leczeniu w Wörishofen. Posiadłość ta należy pod względem administracyjnym do bawarskiego obwodu Mindelsheim w szwabskim okręgu. Położenie wioski nie jest zbyt romantyczne lecz przyjemne; przy czystej pięknej pogodzie uwydatnia się na horyzoncie długi łańcuch Alp szwabskich i bawarskich, a po nad nim wznoszą się wspaniałe szczyty o skalistych ścianach i śnieżnych polach.

Wioska liczy około 1.000 mieszkańców, posiada piękny kościół katedralny, a przytem obszerny klasztor, w którym pod kierunkiem zakonnicy dominikańskiej reguły, urządzono zakład wychowawczy dla dziewcząt osieroconych, lub pozbawionych opieki, oraz szkołę gospodarstwa domowego i mlecznego, a nawet piwowarstwo jest tu uprawiane.

Wszystko to jednak nie zdołałoby skromnej wioseczki okryć sławą, a zawdzięcza ją w zupełności obecnemu swemu proboszczowi, księdzu Sebastyanowi Kneipp od chwili, gdy tenże ze zdumiewającym skutkiem uprawiać zaczął sztukę lekarską. Od tego czasu, t. j. w ciągu lat dziesiątka, Wörishofen stało się jedną z najbardziej uczęszczanych kuracyjnych miejscowości w Niemczech.

Sebastyan Kneipp, ujrzał światło dzienne w r. 1821, w wiosce Stefansried, pochodzi z ubogiej tkackiej rodziny. Sam początkowo był tkaczem, później jednak dzięki wytrwałości, udało mu się przejść studia teologiczne, a w r. 1852 otrzymał święcenia kapłańskie. Został spowiednikiem w klasztorze Dominikanek w Wörishofen, a od r. 1881 piastuje godność proboszcza w tej miejscowości.

Według słów samego księdza Kneippa, do działalności na polu sztuki lekarskiej popchnęła go troska o własne zdrowie, które bardzo ucierpiało podczas mozolnej pracy w czasie teologicznych studiów. Na sobie wypróbował najpierw metodę leczenia zimną wodą, co w rezultacie, nie było nowością; rozwiniął jednak samodzielnie tę metodę i otrzymałszy jaknajpomyślniejsze skutki, zachęcony tem udzielać zaczął chętnie rad innym chorym. Po kilku udanych kuracyach, rozgłos jego sławy obejmował coraz dalsze kręgi, i dziś skromny syn tkacza jest europejską znakomitością, na równi z Prinsitzem „wodolekarzem“ w Gräfenbergu na Szląsku.

Tłumy ludzi dążą do bawarskiej wioski, aby szukać tam ulgi w cierpieniach, gdy zaś ksiądz Kneipp wyrusza do któregoś z większych miast, dla wykładu swej metody, wszędzie zgromadzają się tłumy, by go słuchać; w Rzymie wyróżnił go najwyższy Arcypasterz nadając mu tytuł prałata, a pierwsza jego książka „Moje leczenie wodą“ doczekała się już piętnastu wydań.

Były to zdumiewające i nie często trafiające się rezultaty. Nie zdołały one wprawdzie wpłynąć na usposobienie człowieka, który był ich przyczyną; za to miejsce jego zamieszkania, skromne Wörishofen, uległo gruntownej przemianie. Szwabska wioseczka urosła do rozmiarów kuracyjnej miejscowości.

Zdaleka już spostrzegamy liczne nowe zabudowania. Zbliżywszy się, spotykamy po miejsku ubra-nych mężczyzn, oraz panie boso lub tylko w sandałach na nogach; a panie nawet z odkrytą głową. Pobieźny rzut oka na tutejsze sklepy i sklepy przekonywa nas odrazu, że wszystko jest tu na usługi kuracyi księdza Kneippa, i z niej żyje. Szewcy wyrabiają tu tylko sandały, w sklepach trzymają tylko artykuły potrzebne przy kuracyi, jak bieliznę księdza Kneippa, kawę Kneippa i t. d. Chodzenie boso, rozpowszechnione tu jako konieczny warunek kuracyi, ma tę dobrą stronę, że bezustannie przypomina człowiekowi jaką korzyść przynoszą mu naturalne warunki życia.

Żwirem zasypana wiejska uliczka jest wyborym środkiem zahartowania dla wydelikacowanych damskich nóg.

W obec tego, czujemy się podczas naszej wędrowki kompletnie zażenowani tem, że mamy obuwiu na nogach, gdyż zdarza nam się uchwycić przelotne wejrzenia, teńjące jakby politowaniem nad torturą zadawaną sobie dobrowolnie.

Na lewo od drogi, po której dążymy wznosi się katedra, wspaniała budowla z początku XVI wieku, w części odnowiona. Mały ementarzyk otacza kościół, a pobudzeni ciekawością dowiedzenia się, czy pochowani tu są jacy kuracyusze ze znanych osób, wstępujemy na ementarzyk. Zawód nas spotyka, okazuje się że tylko miejscowi mieszkańcy śpią tu snem wiecznym; z przybyszów widocznie nie umiera nikt w Wörishofen, albo może sprowadzają do rodzinnego miejsca tych, którzy tu życie zakończą?

Bezpośrednio z kościołem sąsiaduje klasztor, oddzielony od niego tylko małą uliczką; gmach duży z zesłanego stulecia z ładnym kościółkiem, lecz sam nie odznaczający się piękną strukturą.

Silny zapach siodu, wydobywający się z kilku okien klasztoru, zdradza że się wewnątrz odbywa wyrób piwa, lecz próżne są nasze usiłowania, aby ujrzeć którą z pobożnych siostrzyczek oddających się temu prozaicznemu zajęciu, okna są szczelnie zakratowane i parą pokryte. Zwracamy się ku zachodniej stronie wioski.

Tu wszystko wre ruchem, daje miarę przyszłości. Pomiędzy chłopskimi chatami wznoszą się świeżo otynkowane nowe budynki, na sposób miejski urządzone, ze sklepami i salami przeznaczonemi na restauracye.

Na rozległym placu wzniesiono urządzenia do gimnastyki. Kilku bosych kuracyuszów oddaje się tu gorliwie różnym ćwiczeniom. Na jednym z brzegów placu urządzono rodzaj galerii o szklanych ścianach. Spostrzegamy tam około piętnastu osób, sądząc po ubraniu, do różnych sfer należących; wszyscy boso, poruszają rękami w milczeniu, szybkim krokiem okrążają drewniane słupy galerii, a widocznie przejęci są tylko ilością dokonanych obrotów.

Idziemy dalej. Przepływa tu czysty strumyk, po obu jego brzegach wznoszą się także nowe budynki, a wśród nich wspaniały zakład „Sebastianum“, gmach zbudowany zupełnie w nowoczesnym stylu, służący jedynie do celów kuracyjnych; duchowni oraz ubodzy znajdują tu bezpłatne pomieszczenie, opiekę i kuracyę.

Tu mieści się także sala, w której proboszcz, a nowo mianowany prałat odbywa codziennie godzinny swój wykład, siedząc przy stole otoczony dokoła całym sztabem młodych lekarzy i duchownych. Pacjenci zbliżają się kolejno w ściśle przestrzeganym porządku, ksiądz rozpytuje się o źródło i historię choroby, żywym, przenikliwym wzrokiem bada stan chorego, a na skinienie jeden z duchownych pomocników zapisuje sposób postępowania przy leczeniu.

Każdy pacjent otrzymuje przed pierwszą konsultacją książeczkę, w której uwagi księdza wpisują się

za pomocą umówionych znaków. Wypełnienie tych przepisów kuracyi leży po części w rękach kąpielowej służby, po części zaś jest zadaniem samego chorego.

Przechodzimy obok kursalu. Po za nim krajobraz przedstawia wzgórze lasem pokryte. Tu na zachodnim krańcu wioski wznosi się przytułek dla dzieci, pozostający także pod zarządem księdza Kneippa. Na schodach przytułku spostrzegamy kilkoro dzieci o bladych chorowitych twarzyczkach, oraz opiekującą się nimi zakonnice z klasztoru.

Nadechodzi pora w której ksiądz Kneipp wygłasza w wielkiej halli codziennie przemowę do kuracyuszów.

Powracamy więc wzdłuż strumyka, a po drodze zwraca uwagę naszą tablica z napisem: „Wchodzenie do wody zabrania się.“ Z tego ostrzeżenia wnioskować można, że niektórzy z gości kąpielowych, do tego stopnia posuwali swą gorliwość w leceniu, że chcieli spacerować po strumyku. Inaczej zakaz „wchodzenia“ do wody byłby niezrozumiałym.

Po drodze wstępujemy do zakładu zwanego kawiarnią, i posilamy się szklanką kawy, która usposabia nas smętnie. Ksiądz Kneipp jest stanowczym przeciwnikiem prawdziwej kawy, podają nam więc napój, w skład którego nie weszło prawdopodobnie ani jedno ziarno kawy. Jest to sławna „kawa Kneippa.“

W pobliżu klasztoru znajduje się wielka galeria, gdzie proboszcz miewa codziennie po południu swą przemowę. Ze wszystkiego wnioskować można, że ta chwila jest najważniejszym faktem dnia w Wörishofen. Kuracyuszowie dają tu całymi tłumami, tak biedni, jak bogaci prawdziwie chorzy, jak również zdrowi. Widzimy tu arystokratyczne postacie w strojnych tuietach jak u modnych wód; a w pośród nich odróżniają się skromnie ubrani mieszczanie, oraz ubodzy, którzy ostatni może grosz poświęcili aby zapłacić podróż do Wörishofen, i tu zdrowie odzyskać. Daje się tu słyszeć obok niemieckiego, włoski i ruski, angielski, polski i czeski języki. Zgromadzenie to kuracyuszów nie usposabia wesoło; widzi się tu wiele z tego, wszystko może, co przedstawia pod względem cierpień fizycznych nędza ludzka, wyzierająca ze straszną nieraz prawdą ze zmienionych, żółtych, bladych, schorowanych twarzy, lub ułomnych i pokrzywionych kształtów. Spotyka się tu znaczny zastęp kulawych, wlokących się z trudnością, oraz dotkniętych złośliwymi chorobami; z pośród nich wielu zasłania całą twarz chustką.

A co za różnorodność dostrzedz można w wyrazie twarzy tych biedaków, poczawszy od radosnej nadziei, skończywszy na rozpaczliwym zwątpieniu! W pobliżu nas stały trzy osoby wzbudzające głębokie współczucie. Byli to trzej młodzi ludzie, ubogo ubrani, a wszyscy mieli na twarzy wyryte piętno ciężkich fizycznych cierpień; jeden z nich w żołnierskiej czapce, chudy i śmiertelnie blady, szedł dość pewnym krokiem, a obydwoma rękami podtrzymywał opierających się na nim dwóch towarzyszy. Obraz nieszczęścia, lecz zarazem tak pełen serdecznej litości!

Potężna halla zapełnia się. O czwartej godzinie głośnie klaskania; wołanie, oznajmia przybycie proboszcza. Apostoł wodnej kuracyi staje na wzniesieniu; postać staruszka, pomimo siedmdziesięciu lat wieku krzepko się przedstawia; jest on bardzo ożywiony, a oczy pełne wyrazu, gęste brwi otaczają. Ksiądz Kneipp jest mówcą z natchnienia. Mówi dyalektem szwabsko-bawarskim, lecz tak wyraźnie, że kto tylko zna niemiecki język, zrozumieć może każde jego słowo. Nie układa zdań kunsztownie, lecz mówi z humorem, i w sposób świadczący, że jest sam głęboko przekonany o prawdziwej wartości swych twierdzeń. Zaczyna zwykle przemowę, rozwijając przed okiem słuchaczy obraz choroby, a następnie wiąże go z metodą zastosowania swej wodnej kuracyi. Wykłady jego przystępne są dla każdego umysłu, każdy musi go zrozumieć, a podczas mowy zwraca się niekiedy bez żadnej ceremonii do którego ze słuchaczy, wskazując go palcem. Przemówienie księdza przykuwa naszą uwagę, i bardzo nas zajmuje; jakkolwiek słabe ma-

my pojęcie o medycynie, doznajemy jednak wrażenia, jakgdybyśmy nagle, my dzieci XIX stulecia przeniesieni zostali w czasy Hipokratesa lub Galeusa, i razem z wierzącym; zachwyconym tłumem przysłuchiwali się i h wykładowi. Przychodzą również na myśl owi cudowni lekarze średnich wieków, oraz dosadne żarty, które Abraham a Sancta Clara (Ulryk Megerle) zachwycał swe audytoryum. Śmiać nie chce się nam jednak wcale, za wiele widzimy w koło siebie nędzy ludzkiej, za wiele wiary, zaufania.

Gdy mówca skończył swój wykład, zbliżyła się ku niemu dawna jego pacjentka, przyzwoicie ubrana kobieta, skromnej powierzchowności. Przybyła do Wörishofen cztery lata temu, przez cały szereg lat prawie wcale chodzić nie mogła, próbowała wszystkich możliwych środków, wszystko napróżno; w Wörishofen została uleczoną. Cichym głosem opowiada to księdzu, który głośno, wesoło oznajmia ten fakt zgromadzonej publiczności. Jakąż nadzieją błyszczą wówczas oczy biednych chorych!

Prątał odchodzi, z za nim podążają najgorliwsi jego zwolennicy i zwolenniczki. Oddychamy swobodniej, wydostawszy się z licznego tłumu chorych, na zdrowe, świeże, jesienne powietrze.

Gromadami snują się słuchacze, rozchodząc się po uliczkach wioski. Przemowa oddziaływała na nich zbawiennie, napełniając serca otuchą i nadzieją. Większość chorych jest dla prątała z uwielbieniem, które porównać można tylko ze czcią oddawaną patriarchyom w głębokiej starożytności. Czyż dziwić się temu można, jeżeli miły zdrowi, przybywszy tu z u zuciem niewiary i chłodnej krytyki, jak prawdziwie dzieci naszego wieku, nie możemy oprzeć się cieplejszemu wrażeniu i zainteresowaniu się człowiekiem, którego wiara w swe posłannictwo, domniemaną prawdę swej teorii, silną jest jak opoka, który ze skromnego swego stanowiska wyrósł na znakomitość, a wszystkie odniesione korzyści z rzadką bezinteresownością poświęca biednym i cierpiącym.

Celem naszym nie jest krytyka metody leczenia Kneippa, która niejednokrotnie jednak może mieć wątpliwe rezultaty, i w każdym razie wymagałaby przy zastosowaniu do każdego rodzaju choroby, ścisłej naukowej kontroli, ze względu na niedostateczne medyczne wykształcenie proboszcza; chcieliśmy tylko w prawdziwym świetle wystawić miejscowość, człowieka, i urok jaki na swych chorych wywiera.

Podczas naszych rozmyślań nad wpływem silnego przekonania na umysły drugich, słońce kryje się po za lasy Szwabii, mgły opadają i pozwalają dostrzedz w południowej stronie jak w czarownej baśni, wysokie pasmo gór z ich śnieżnymi połami. Trwa to krótka chwila, a gdy siadamy do pocztowej karetki, dążąc ku stacji z powrotem, czarowny krajobraz wraz z całym Wörishofen znika w nocnej jesiennej pomroce.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium rolnictwa urzeczywistniło, o ile to było można, projekt zorganizowania instytutu instruktorów hodowli bydła. Ponieważ brakowało odpowiednich specjalistów, więc trzeba było ustanowić jednego instruktora na obwód złożony mniej więcej z czterech guberni. Instruktor obowiązany jest dawać wszelkie rady dotyczące się techniki gospodarstwa nabiłowego, oraz hodowli bydła u włościan; kwestya przewozu mleka będzie roztrząsaną przez specjalną komisję przy ministerium komunikacyi.

— Dwie bardzo ważne linie kolejowe rozpoczęto budować na rosyjskiem terytorium w Azji. Jedna z nich w Turkestanie od końca kolei zakaspijskiej w Samarkandzie przez Cynaz do stolicy turkestańskiej, Taszkientu. Obok tego czynione są studia

nad odnogą kolei zakaspijskiej od Andżarzu do miasta Osz. Druga linia kolejowa prowadzi się od kolei zakaukaskiej do Karsu w głąb Azji Mniejszej, z kąd dalej pójdzie do połączenia się z linią prowadzoną przez całą Palestynę i Azję Mniejszą.

— Rada Państwa postanowiła wyasygnować w ciągu lat trzech, poczynając od bieżącego roku po 5,000 rs. na utrzymanie specjalnych kursów, przygotowujących nauczycieli do zakładów naukowych rolniczych. Rada Państwa roztrząsnęła też i zatwierdziła projekt kredytu meljoracyjnego.

— W Wielką sobotę otrzymało w lokalu przy ulicy Jerozolimskiej staraniem opiekuna ubogich, p. Hawsewicza pięćdziesiąt rodzin z cyrkułu IX-go. Opiekun p. Antoni Szelażek rozdał we własnym swoim domu przy ulicy Nowolipie święcone ubogim cyrkułu VI-go. O godzinie 12-iej w południe staraniem opiekunów pp.: Stanisława Pfeiffra i Jana Rudnickiego 200 ubogich z cyrkułu V-go przy ulicy Smoczej dostało święcone. O godzinie 1-iej z południa w lokalu zupy rumforekiej urządzone w gmachu po-dominikańskim przez opiekunów pp.: Ignacego Habielskiego i Konstantego Dąbkowskiego święcone dla ubogich rodzin z cyrkułów I-go i II-go. Opiekun ubogich cyrkułu IV-go, p. Ludwik Szczygielski wydawał asygnacye na święcone rozdawane w Wielki piątek w domu przy ulicy Leszno.

— Badanie lekarskie dzieci, które mają być wysłane na wieś, zostało z powodu świąt przerwane, lecz z dniem 18-ym otwarto lokal mieszczący kancelaryę, w domu pod Nr 42 na Nowym Świecie i od tego czasu wszelkie interesa dotyczące tej dobroczynnej instytucyi, załatwiane będą w godzinach stale oznaczonych. W Kaliszu sala zajęć dla ubogich dzieci, założona w 1891 r. przez D-ra Dreckiego, przyjmuje 154 chłopców od lat jedenastu do czternastu, aby pod kierunkiem majstra płatnegoo nauczyły się wyrabiać: koszyki, derki, chodniki, słomianki i kapelusze ze słomy. Dziewczynki uczą się szyć, cerować, haftować i znaczyć bieliznę. Praca ta przyniosła 802 rs. dochodu (dziewczynki zarobiły 344 rs., chłopcy 458 rs.), że przeciwieź na utrzymanie sali od początku istnienia tej instytucyi wydano 3,287 rs., przeto brakującą sumę pokryły składki, które zbierała zacna filantropka, p. Bieniecka doktorowa. Fundusz zakładowy sali w ilości 185 rs. zebrał doktor Drecki.

— Komitet budowlany przysłej wystawy higienicznej zażądał od Magistratu warszawskiego 50,000 rs. Na zbudowanie głównego pawilonu wyznaczono 30,000 rs., na oświetlenie elektryczne 10,000 rs., resztę na wzniesienie innych budynków. Komitet fizyczno-chemiczny zażądał po ostatecznem obrachowaniu 3,000 rs. na zbudowanie auli, na kupno mikroskopu elektrycznego i rozmaitych przyrządów dodatkowych, a obok tego 3,000 rs. na kupno rysunków, modeli i preparatów demonstracyjnych.

— Na zjazd telegraficzny, mający się odbyć w Warszawie, zjeżdżają przedstawiciele pierwszorzędných firm elektrotechnicznych z Berlina, Wiednia i Buda Pesztu, z celem widzenia prób z telefonami różnych systemów.

— Wybory w Towarzystwie Muzycznym zostały wykonane; do komitetu powołani zostali ponownie pp.: Feist Aleksander, Hertz Michał, Roguski Gustaw i hr. Rzyszczewski. Do delegacyi rewizyjnej weszli pp.: Fryer Antoni, Wolf Robert, Rüdiger Edward.

— Komitet opieki nad plantacyami miejskimi wykazał, iż w ciągu roku wykonano wiele robót grabarskich w parku Ujazdowskim, oraz zasadzono 4,500 drzewek liściastych i iglastych, oraz wiele krzewów, wykopano dwie sadzawki. Skwery założono na placu przed dworcem kolei warszawsko-wiedeńskiej, oraz na placach: Warekim, Zamkowym, Krasińskim i na ulicy Dzikiej, oraz Przejazd; część ogrodu Krasińskiego przerobiono wedle nowego planu, na Placu broni zasadzono 120 drzewek, dokonano roboty pod założenie nowego skwery przy posągu Kopernika, wysadzono 600 drzewek na Krakowskiem-Przedmieściu, w Alejach Jerozolimskich i Szucha, oraz na ulicy Stalowej i ulicy Radzimińskiej na Pradze, 600 drzew wzdłuż szpitala Ujazdowskiego. Na ulicach miasta w miejscach starych lub uschłych zasadzono 400 drzew nowych. Przeznaczono na cementarz Brudno 500 drzew, dla

szpitala Ś-go Ducha i szpitala Ś-go Rocha 244 drzew i 1.160 krzewów. Wychodowano też w szkołkach miejskich 50.000 drzewek i krzewów, wysadzono na plantacjach miejskich 2.402 krzewów, wybudowano trzy nowe ciepłarnie. Razem wysadzonych jest w Warszawie drzewami ulic 31, na Pradze ulic 11, placów w Warszawie 5, na Pradze 3. Budżet plantacji miejskich przedstawiał 61.708 rs., z której to kwoty wydano na utrzymanie służby 11.987 rs., na urządzenie nowych plantacji rs. 28.201, na roboty 33.347 rs.

— Między Wiedniem a Lwowem, kursować będzie pociąg błyskawiczny, przebiegający 756 kilometrów w godzin dziesięć, to jest 85 kilometrów, na godzinę. Podróż między Wiedniem a Krakowem, trwać będzie godzin sześć, a z Krakowa do Lwowa cztery godzin; potrzeba było sprawić w tym celu specjalne lokomotywy i wagony, co kosztowało pół miliona zł. reń. Pociągi te zatrzymywać się będą tylko na stacjach ważniejszych.

— W Krakowskim Kole literacko-artystycznym obchodzono uroczyste imieniny prezesa, sędziwego Juliusza Kossaka. Michał Bałucki skreślił na tę uroczystość wiersz, bardzo wesoły i udatny.

— Dyrekcya teatru krakowskiego zamierza urządzić sezon operowy od dnia 15 czerwca do końca sierpnia z udziałem najwybitniejszych sił wokalnych. Obok sił średnich mają się tu dać przecież słyszeć. Filippi, Bandrowski, Jeromin, Wołoszko, Górski, Hellerówna, Abendroth i inni. Reżyserem będzie Kamiński, były śpiewak, a obecnie zasłużony reżyser sceny lwowskiej. Opera poważna, o siłach europejskiej już sławy, będzie niewątpliwie przyciągać słuchaczy i z okolic dalszych, co ożywi

miasto. W teatrze lwowskim wystawiono po raz czwarty sztukę: „Towarzysz pancerny.“

— Sekretarz generalny krakowskiej Akademii umiejętności ogłosił list otwarty, w którym wykazuje potrzebę lepszego uposażenia tej instytucji, pobierającej zasiłku rządowego 16.000 zł. reń., gdy Akademia wiedeńska otrzymuje 88.000 zł. reń. Akademia węgierska w Peszcie, ma do rozporządzenia z dochodów swoich 200.000 zł. reń., czeska w Pradze 150.000 zł. reń., krakowska tylko 50.000. Brak środków może spowodować smutny ten rezultat, że Akademia krakowska, zmuszona by została zawiesić wydawnictwa swoje na rok jeden.

— Gimnazjum w Oleśnicy na Szlaku obchodzić będzie wkrótce setną rocznicę istnienia. Z tej okazji przypominano sobie, że poeta niemiecki, Gustaw Freytag, był uczniem tej szkoły i ukończył ją z patentem celującym. Freytag znał dobrze nasz język i czytywał naszych poetów.

— Komitet zarządzający kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia D-ra Józefa Mianowskiego, w wykonaniu testamentu s. p. D-ra Zenona Pileckiego, mając do rozporządzenia procenty za lata ubiegłe od dnia śmierci testatora, postanowił na posiedzeniu w dniu 23-cim z. m., przyznać wynagrodzenie za prace naukowe, zasługujące na wyróżnienie, następującym autorom:

1. Samuelowi Adalbergowi, za dzieło: „Księga przysłów polskich.“

2. I. Badowskiemu, za dzieło: „Geometria Elementarna.“

3. Konstantemu Górskiemu, za dzieło: „Historja piechoty polskiej.“

4. Waleremu Gostomskiemu, za pracę: „Arcydzieło poezji polskiej.“

5. Aleksandrowi Jabłonowskiemu, za szereg prac historycznych, z których ostatnią była „Ukraina w XVI-y wieku pod względem statystyczno-geograficznym.“

6. Władysławowi Janowskiemu, za pracę: „Przyczyny powstawania ropienia w świetle pojęć współczesnych.“

7. Gabryelowi Korbutowi, za pracę: „Wrażenia niemieckie w języku polskim pod względem językowym i ewilizaacyjnym.“

8. Aleksandrowi Krausharowi, za pracę: „Krzyżostof Arciszewski“ i inne prace historyczne.

9. Edwardowi Porębowiczowi, za pracę: „Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezji polskiej.“

10. Władysławowi Smoleńskiemu, za pracę: „Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII-y wieku.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego arkusz 14-ty.

Cena zniżona rs. 5 (dotychczasowa była rs. 9) pocztą rs. 6.

Sprzedaje się na rzecz rodziny pozostałej po zmarłym autorze-wydawcy Dr Starkmanie dzieło p. t.

ENCYKLOPEDIA ILLUSTROWANA

Medycyny i Hygieny Popularnej

według dzieła D-ra PAWEŁA BONAMI Laureata Akademii Medycznej w Paryżu,

w opracowaniu D-ra Józefa Starkmana.

31 zeszytów zawierających 90 arkuszy druku w dużym formacie 8-o i 160 rycin objaśniających.

Można dzieło to nabyć od razu za rs. 5 w Warszawie (6 rs. z przesyłką pocztową) lub też częściowo po 6 zeszytów naraz, wnosząc za takowe po rs. 1 w Warszawie (rs. 1 kop. 25 z przes. poczt.), ostatni 31 wydany będzie bezpłatnie.

Prenumeratorowie, którzy zalegli w odbiorze zeszytów mogą nabyć obecnie zeszyty po kop. 16 w Warszawie a 20 k. pocztą — z prowincyi uprasza się żądać najmniej 5 zeszytów od razu.

Dzieło to zawiera niezbędne dla każdego wiadomości z Medycyny i Hygieny, wyłożone w sposób jasny i przystępny, głównie zaś sposoby udzielania pomocy w razie nagłej choroby i w braku lekarza.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Jezus-Chrystus chodzi po morzu (drzeworyt).—Świętowanie w rodzinie, przez M. I. — Romans, przez Kazimierza Glińskiego (wiersz).—Bluszc, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg). — Z Ameryki.— Dzień u księdza Kneippa. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Za cudzą winę, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego ark. 14-ty. — Przegląd mód. 51 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozyca stołu.